

Wizancjum

3 listopada 2018

Amerykanom wciąż wydaje się, że największym marzeniem Polaków jest zapieprzanie na czarno na Green Poincie.

Gdy Wałęsa poleciał do Stanów jako prezydent, ogłosił zniesienie wiz dla obywateli USA. To było w 1991 r. Amerykanie odpowiedzieli na ten przyjazny gest też zniesieniem – opłat za wizy.

Bez mydła

Po trzech latach im przeszło. Kongres USA wprowadził jednolite opłaty za wizy, także dla Polaków – 20 dolarów, a w 2002 r. podniósł je do stu. Teraz koszt przepustki do Ameryki to 160 baksów. Płaci się z góry, a jeśli konsul odmówi wizy, pieniądze przepadają. Dlatego, że to nie hajs za wizę, tylko „bezzwrotna opłata za rozpatrzenie wniosku o wizę”.

Polakom latanie za ocean przechodziło jeszcze bardziej. O ile w 1990 r., o amerykańską wizę starało się około 200 tysięcy potencjalnych kandydatów do pracowania na czarno na budowach należących do Donalda Trumpa, a w 2004 r. było ich nawet 400 tysięcy, to w 2013 liczba ta spadła do ledwie 70 tysięcy, by teraz ustabilizować się na poziomie lekko ponad 100 tysięcy wniosków rocznie.

Kolejki po amerykańską wizę malały tym bardziej, im więcej państw europejskich pozwalało Polakom przyjeżdżać do siebie nie tylko bez wiz, ale nawet paszportów. A po roku 2004, gdy weszliśmy do Unii i kolejne kraje otwierały dla nas rynki pracy, tylko kretyń albo krewniak polonusa ze Stanów chciałby tam jechać. Najlepiej świadczy o tym taki drobiazg, że dziś na zachód od Odry mieszka i pracuje za o niebo lepsze pieniądze niemal 2,5 miliona osób z obywatelstwem Polskim.

Niech ktoś zatem wytłumaczy, dlaczego od prawie dwudziestu lat idiotów robią z siebie zarówno Amerykanie, jak i mnóstwo naszych polityków.

Na wazelinę

Zaczęło się od Busha młodszego. Bo za Clintona ani my, ani jego administracja nie szukaliśmy czegokolwiek, co mogłoby być przez kongresmenów i senatorów użyte przeciwko wejściu Polski do NATO. To dopiero Bush nazwał Polskę „największym przyjacielem USA”, a my – mając okazję siedzieć cicho – ruszyliśmy ochoczo do Afganistanu i Iraku.

Ruszyliśmy też do ofensywy dyplomatycznej o wizy. Niebezzasadnie, bo ministrowie i premier Miller przy każdym pobycie w Waszyngtonie wysłuchiwali od sekretarzy i podsekretarzy tamtejszego rządu, że Ameryka odwdzięczy się swoim sojusznikom wojennym tak inwestycjami, jak zniesieniem wiz.

A ponieważ wyszła z tego dupa, to amerykańska polityka wizowa stała się polską racją stanu. W październiku 2002 r. MSZ przekazało konsulowi generalnemu USA notę „o negatywnej ocenie uciążliwej dla polskich obywateli procedury wydawania wiz”. W maju 2003 r. Sejm wydał rezolucję wzywającą władze Stanów Zjednoczonych do zniesienia obowiązku wizowego dla obywateli polskich. A to dlatego, że „Polska jest sojusznikiem USA, czego wyrazem jest m.in. udział polskich wojsk w operacji w Iraku, oraz że większość obywateli Europy nie potrzebuje wiz do USA”.

Chyba nie przekonało to Amerykanów, bo zamiast załkać nad niedolą Polaków, wydali oświadczenie, że zniesienie wiz jest niemożliwe m.in. dlatego, że zbyt wielu obywateli polskich nielegalnie przedłuża pobyt w USA.

Prezydentujący wtedy Kwaśniewski wziął to na klatę, i w styczniu 2004 r. w telefonicznej rozmowie z Bushem „wyraził

oczekiwanie, że przepisy wizowe wobec Polaków zostaną złagodzone". Kwachu zapowiedział, że gdy będzie w Gabinetcie Ovalnym, to kwestia wiz będzie głównym punktem rozmowy. Była. I wyszło, jak wyszło.

Potem u Busha był premier Belka „Mamy już dosyć ignorowania naszych interesów w Iraku i wiz do Stanów” – postawił sprawę na ostrzu noża i odpowiedzi nie usłyszał.

Na takie dictum sprawy w swoje ręce wziął Lech Wałęsa. Poprosił przebywającego w Gdańsku ambasadora USA Victora Ashe'a o przekazanie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że walka o zniesienie wiz dla Polaków jest dla niego sprawą najważniejszą.

„Zrobię wszystko, niebo i ziemię poruszę, aby stosunki polsko-amerykańskie były bez wiz. Niedługo wybieram się do USA i »pierwsze zwanie« na wszystkich spotkaniach i wykładach będzie m.in. na ten temat” – poszedł na całość były prezydent.

Poleciał i poruszał ten temat z zastępcą sekretarza stanu w Departamencie Stanu USA, przewodniczącą komisji spraw zagranicznych Kongresu Stanów Zjednoczonych oraz z Hillary Clinton. „Ta ostatnia rozmowa była dość ciekawa. Ona była zdziwiona, że wizy dla Polaków jeszcze istnieją, nie wiedziała o tym” – opowiadał po powrocie, przekonany, że Amerykanie zniosą wizy w „krótkim czasie”.

Nie znieśli, a zastępca rzecznika prasowego ambasady USA Dick Custin wciąż musiał odpowiadać na pytania, dlaczego ludzie starający się o wizę muszą stać na mrozie, a nie mogą czekać w środku konsulatu.

Albo czemu opłata wizowa jest tak duża, 100 dolarów, a telefon do ambasady kosztuje 4,88 zł za minutę, czyli tyle, co na sekstelefon?

„Miło mi ogłosić, że podejmę współpracę z Kongresem i naszymi zagranicznymi partnerami, by zmodyfikować program o ruchu

bezwizowym” – powiedział pod koniec 2006 r. George Bush podczas wizyty w Estonii. I dodał, że chodzi o partnerów z krajów wschodniej Europy.

Wszystkim się zdało, że Polska też jest we wschodniej Europie.

Nie była. Od października 2008 r. bez wiz mogą śmigać do Stanów obywatele Litwy, Łotwy, Estonii, Węgier, Republiki Czeskiej, Słowacji i Korei Południowej. Ale spoko. Przecież Bush powiedział przy tej okazji, że „inne kraje znajdują się na drodze do włączenia do programu bezwizowego”.

Sto lat za Litwinami

Dlaczego się nie udało? Bo – jak tłumaczyli Amerykanie – „Polska nie spełniła wymogu zejścia poniżej progu 10 procent odmów wiz wnioskującym o nie obywatelom danego państwa”.

Gdyby ktoś nie wiedział, o co chodzi, to należy zaznaczyć, że amerykańskie prawo ustanowione przez Kongres pozwalało wtedy na zniesienie wiz dla obywateli tylko tych krajów, w których konsulatory USA odrzucają nie więcej niż 3 proc. podań wizowych. Żaden prezydent nie mógł złamać ustawy. Władny był jednak nakazać zmniejszenie odsetka odmów.

Litwa, która w 2006 r. odmów miała prawie 28 proc., a rok później ich odsetek nie przekroczył 10, pokazuje, że Amerykanie robią sobie jaja. Liczba odmów zależy wyłącznie od tego, ilu osobom mają konsulowie odmówić. Nie ma jasnych i precyzyjnych kryteriów. Wszystko zależy od władz wykonawczych w Stanach. Jeśli one powiedzą, że w Polsce odmówić trzeba jednemu procentowi wnioskujących o wizę, to pracownicy konsulatów tylko tylu osobom odmówią.

Wprowadzenie siedmiu krajów do amerykańskiego programu bezwizowego pokazało, że jakiegokolwiek negocjacje o wizach nie mają sensu. Amerykanie sami muszą mieć w tym interes.

Polscy politycy byli świadomi, że to my mamy militarny biznes

do wuja Sama, o wizach więc nie gadali. Robili to dziennikarze. W 2009 r. spytali kończącego urzędowanie w Polsce ambasadora Victora Ashe'a. Usłyszeli, że „w tym roku obchodzimy 90-lecie nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a USA. Wasz kraj obchodzi 20. rocznicę wolnych wyborów, minie też 10. rocznica udziału Polski w strukturach NATO i 5. rocznica przystąpienia do Unii Europejskiej. Byłoby miło, gdyby w tym roku udało się doprowadzić do zwolnienia polskich obywateli z obowiązku wizowego”.

Ambasador prawdę ci powie

Bronisław Komorowski nie jest dziennikarzem więc nawet nie pytał wprost Obamy w grudniu 2010 r. o wizy. To prezydent USA dał się gajowemu podpuścić i zapowiedział, że wizy dla Polaków zostaną zniesione do końca jego kadencji. Czyli do końca 2012 r.

Tuż przed Wszystkimi Świętymi w roku 2012 ambasador USA w Polsce Lee Feinstein opowiadał, że „prezydent Obama jest zdecydowanie za wejściem Polski do programu ruchu bezwizowego. Nikt nie działa równie zdecydowanie na rzecz naprawienia tej sytuacji jak prezydent Obama. A jeśli chodzi o terminy, to mogę zapewnić, że świadomość, iż jest to kwestia, którą trzeba rozwiązać szybko, jest powszechna”. W pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada Obama został prezydentem USA na kolejną kadencję.

A nowym ambasadorem USA został Stephen Mull. Na pierwszym spotkaniu z polskimi mediami powiedział co? Oczywiście „mam nadzieję, że już wkrótce Polacy nie będą potrzebowali wiz do Stanów Zjednoczonych, bo prezydent Obama bardzo dobrze rozumie, jak ważna jest to sprawa dla Polski”.

Druga kadencja Obamy też się skończyła. Ale pod jej koniec pewien Amerykanin zawołał, że jeśli zostanie prezydentem USA, to w 2 tygodnie po zaprzysiężeniu zniesie wizy dla Polaków. Amerykanin ten nazywał się Donald Trump. Wkrótce miną 3 lata,

jak mieszka w Białym Domu.

W tamtym roku usłyszeć było można od kolejnego ambasadora Stanów w Polsce Paula W. Jonesa, że „prezydent Donald Trump popiera zniesienie wiz dla Polaków, Polska nie spełnia jednak jednego kryterium związanego z odsetkiem odmów”. Jakiego? „Wymagany jest odsetek poniżej 3 proc., Polska ma obecnie 5,5 proc.”.

Dokładnie to samo usłyszał też pierwszy od bardzo dawna polski polityk, który pojechał do Waszyngtonu walczyć o zniesienie wiz. Czyli Waszczykowski. Bo konieczne to było nowej władzy do pokazania, że Polska wstaje z kolan.

Nie wstała. Wciąż jest w tej samej grupie krajów Unii, których obywatele potrzebują wjazdówki do Stanów. Jesteśmy w jednym klubie z Bułgarami, Rumunami, Chorwatami i – nie wiedzieć czemu – Cypryjczykami.

Niedawno do Polski przyleciała kolejna amerykańska ambasador. I nie pytana przez nikogo opowiada wszem i wobec nie o bazach wojskowych, bo nie ma o tym pojęcia, tylko o wizach, do których nie chce się wracać nawet dziennikarzom z TVPiS.

Wyjęła mu to z ust

„Powiem tak. Jestem ambitna. Nie lubię przegrywać. Nie mogę usprawiedliwić faktu, że nie byliście dotąd objęci programem bezwizowym. Powinniście być” – pieje w mediach Georgette Mosbacher. „To może być ostatnia sprawa, którą załatwię, ale jestem zdeterminowana, by ten program bezwizowy przeprowadzić” – dodaje, nie bacząc na to, że takim gadaniem zadaje kłam amerykańskiej dyplomacji wciskającej kit o 3-procentowej procedurze. A poza tym mówiąc „stawiam sobie za cel zniesienie wiz dla Polaków przed końcem mojej kadencji. Chciałabym, żeby stało się to w ciągu najbliższych 12-18 miesięcy” – papuguje Obamę.

Oczywiście jebnięte na punkcie Ameryki pisowskie media rzucają się na takie deklaracje z radością. W przeciwieństwie do zamierzających wyemigrować Polaków. Bo ci wolą zapieprzać w europejskim kraju, gdzie pracują na biało za co najmniej 10 euro na godzinę, niż być ściganym przez Immigration Office za kładzenie dachów po 10 dolarów za godzinę w Nowym Jorku. Wszystkie badania kierunków Polskiej emigracji zarobkowej już od dawna nie uwzględniają Stanów Zjednoczonych z powodu minimalnej liczby chętnych. Ale pani Mosbacher, tak jak większość Amerykanów, nie ma o tym pojęcia.

Autorstwo: Tadeusz Jasiński

Źródło: Nie.com.pl